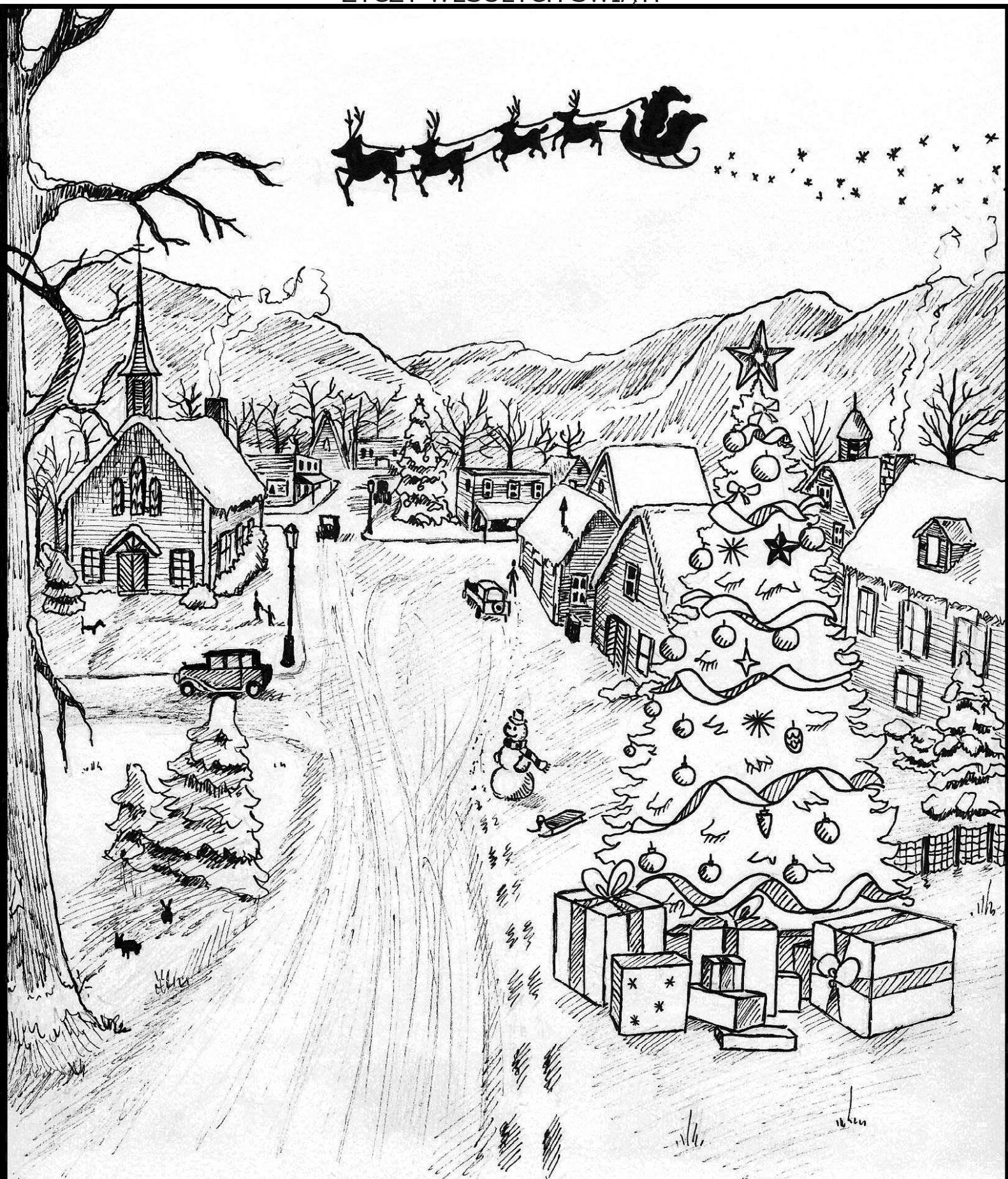


MARGINES

SZKOŁA UCZNIOWIE PRASA
ŻYCZY WESOŁYCH ŚWIAT!



WSTĘPNIAK

Łukasz Ożóg

Witajcie w grudniu, Drodzy Czytelnicy. Na początek mała niespodzianka (nie, nie zaczę od życzeń, to zbyt banalne). Z pewnością pomyśleliście, że w grudniowym numerze, pełno będzie świątecznych tematów, zalejemy Was artykułami o prezentach, zwyczajach w Polsce i za granicą. Nie martwcie się jednak, nie powtórzymy błędu marketingowców, ponieważ nie chcemy zrazić Was do tak uroczystego wydarzenia, jakim powinny (podkreślam, powinny) być Święta Bożego Narodzenia. O co chodzi z błędem marketingowców, przeczytacie w moim tekście (aż sam się zdziwiłem, że w zasadzie tylko jeden tekst ma świąteczną tematykę, w dodatku zbyt dużo pozytywnych odczuć w nim nie można doświadczyć). Jedyna choinka, jaką widzę w tym numerze, to ta na okładce. Swoją drogą, nasz specjalista od wszelakich dzieł graficznych nie odpuszcza z poziomem – aż się martwię, co będzie, kiedy nas nie będzie. Na razie jednak do tego daleko. Oczywiście, nie tylko Damian dba o swój rozwój, cała Redakcja porządnie wzięła się do roboty po ostatnich traumatycznych przeżyciach z nieprzystosowaniem do nadanych terminów. Teraz wychodzimy na czas, z nowymi pomysłami i artykułami, których naprawdę, z numeru na numer, coraz więcej można polecić. Jak zwykle staramy się mieć świeże spojrzenie na zadany sobie temat i nie zanudzać. Tak oto Adam chciałby przybliżyć Czytelnikom temat niezbyt popularnego, jak na razie, sposobu na zarobek. Mowa tu o wykorzystaniu swoich zdolności w grach komputerowych. Naprawdę, mi granie do tej pory kojarzyło się tylko z marnowaniem czasu, a tutaj spora niespodzianka. Może to zabrzmieć podejrzenie, ale jeśli mówimy już o tekstach, muszę polecić artykuł Damiana. Naprawdę wielkie propsy i za okładkę i za artykuł, który przeczytałem z dużą przyjemnością. Oprócz tego, jak zwykle recenzje, ZSŁ News i parę innych tekstów, które mogą Wam się spodobać. Najważniejsze, aby każdy odnalazł tutaj coś dla siebie, do czego chciałby wracać. Pewnie wielu Czytelników czekało na tekst Krzyśka, który w tym numerze sprawił, że jego artykuł przeczytałem bardzo dokładnie. Ciekawe dlaczego :). Cieszę się też, że pojawiają się nowe twarze w Redakcji, ludzie, którzy z miesiąca na miesiąc piszą coraz więcej i coraz lepiej.

Niezależnie od naszej wiary i poglądów oraz tego, jak ktoś ma zamiar przeżyć czas Świąt Bożego Narodzenia, chciałbym wszystkim Czytelnikom życzyć dobrze spędzonego czasu, najlepiej z bliskimi nam osobami. Mam nadzieję, że w Nowym Roku 2014 nasza Redakcja wróci w komplecie i w zdrowiu, aby móc dalej tworzyć dla Was tę Gazetę. Gorąco pozdrawiam i dziękuję wszystkim, dzięki którym możemy się rozwijać na łamach „Marginesu”.

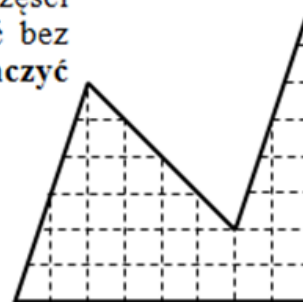
Co w numerze?

Magia Świąt	s. 3
ZSŁ News	s. 3
Miód i alkohol	s. 4
Prawo jazdy i pierwszy samochód	s. 4
Sztuka z pierwszej strony	s. 5
Po dość długiej przerwie...	s. 6
Czy piekło można naprawić?	s. 7
Streaming, zabawa czy praca?	s. 7
Utopijna idealność	s. 8
Zwierzęca krew	s. 9
Gry na szybką przerwę	s. 10
Obecność	s. 10

Matematyczny Konkurs dla Czytelników „Marginesu”

Dla pierwszych trzech osób, które przyniosą do gabinetu polonistycznego (p. 120) rozwiązanie podanego zadania, czekają nagrody! Konkurs trwa przez tydzień od momentu ukazania się numeru. Zapraszamy do umysłowej gimnastyki.

11 – Podział figury. Figurę pokazaną na rysunku należy podzielić na dwie identyczne części dające się na siebie nałożyć bez odwracania. Podział zaznaczyć pogrubioną linią ciągłą.



Gazeta Szkolna ZSŁ
Nakład własny

Redakcja w składzie:

Paweł Górszczak
Łukasz Ożóg
Damian Hanusiak
Artur Kawala
Anna Karez
Maciek Pietrzyk
Krzysztof Franiek
Renata Makuch
Monika Sajbura



Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz
e-mail: margines@tl.krakow.pl
www: margines.tl.krakow.pl

Gazeta Szkolna
MARGINES

Magia świąt

Łukasz Ożóg

BOŻE NARODZENIE W LISTOPADZIE? PRZYPADEK, A MOŻE MARKETING?

Najpierw chciałbym zadać wszystkim jedno ważne pytanie. Jest grudzień, wielkimi krokami zbliżają się Święta Bożego Narodzenia. I tutaj ważna kwestia. Czy ktoś z Was, Drodzy Czytelnicy, odczuwa „magię świąt”? Jeśli ktoś odpowiedział twierdząco, to szczerze mu zazdroszczę, bo pewnie ma w myślach Święta jako czas spotkań z rodziną i przebaczeń (lub co tam nam jeszcze w reklamach wcisnęli). Ja tak miałem ostatni raz w wieku 10 lat. Właściwie, może „magia świąt” ma teraz inne znaczenie? To dziwne, że posługuję się tym wyrażeniem, ponieważ to największy, w mojej opinii wróg Świąt Bożego Narodzenia je wypromował – marketingowcy. Niestety, sztuczki i przekłamania specjalistów od manipulacji i reklam rozprzestrzeniają się bardzo szybko. Teraz nie znam marketu, w którym nie mamia świątecznymi promocjami w magiczny sposób swoich klientów już od listopada. Stosują różne zabiegi, dzięki którym uzyskują większe dochody, korzystając tylko z naszej naiwności i nieświadomości.

Znowu, jak co miesiąc, muszę się kogoś ucześcić. Tym razem to będą ci żli, ci, którzy zepsuli moje dziecięce wyobrażenia Świąt, niczym w reklamach Coca-Coli, Pepsi czy czym tam jeszcze karpia pijamy w Wigilię. Naprawdę, jestem bardzo zły na ludzi, którzy postanawiają dekorować swoje sklepy i markety ozdobami świątecznymi w momencie, kiedy zdejmują z półek ze zniczami kartki z napisem: „PROMOCJA”. Ja nie żartuję – 5 listopada, wchodzę wieczorem do Tesco po parówki i orzeszki, BAM. Staję jak wryty, zastanawiam się, czy piłem coś z procentami. Nie, ze mną wszystko w porządku. A tym bardziej ze wzrokiem, bo właśnie widzę pracownika owej sieci, który wchodzi po drabinie, żeby przypiąć kolejne ozdoby do choinki. Myślę sobie „ale fajnie, to już”. Za sekundę uświadamiam sobie, że „ale... to jeszcze prawie dwa miesiące”. I to jest już pierwsza z rzeczy, które tak bardzo mnie irytują w przeżywaniu przez nowoczesne społeczeństwo „Świąt”. Sami sobie psujemy nastrój.

Przechodząc obok większego marketu z narzędziami, też widzę choinki, jednak do tego już przywykłem. Z samego końca parkingu widać wyraźnie wielkie napisy „Świąteczna wyprzedaż”. Bajecznie, pewnie chodziło im o Święto Niepodległości. Dlatego wiertarka kosztuje mniej. No ale cóż, czemu miałbym się nie interesować. Idę między alejkami, zajmuje mi to trochę, bo ostatni raz byłem w tym sklepie w sierpniu. Jest, znalazłem obiekt, którego pożądam. Moja radość nie trwa jednak długo. Ktoś bowiem zastosował „magię świąt” w inny sposób. To zabieg czysto marketingowy i chyba nawet nie jesteśmy świadomi, jak często bez skrupułów stosowany. W sierpniu cena przedmiotu to 150 zł, na przełomie października/listopada – 180, natomiast w środku listopada – 165 zł, na supermegapromocji. Ja wiem, teraz nie kupuje się w tradycyjnych sklepach, tylko w Internecie. Owszem, też tak robię, ale nawet tam udało mi się zauważyć kilka takich przypadków.

Sam nie wiem już, jak skutecznie bronić się przed ogłupiającymi reklamami, aniołkami i choinkami w sklepach w listopadzie, megapromocjami i nachalnymi ofertami (najczęściej z call center firm telefonicznych). Najgorsze jest to, że wszystkie kumulują się na najbardziej „gorący” marketingowo okres, ważny dla sprzedawców. Pozwalają robić ich w konia, podbijać ceny i zaślaniać to „magią”. Szkoda tylko, że nie pozwolą mi przeżyć Świąt tak jak wtedy, kiedy byłem mały i to nie ja chodziłem na zakupy.

ZSŁ News

Renata Makuch

CO W SZKOLNEJ TRAWIE PISZCZY.

Cześć, to znowu ja w najnowszym numerze „Marginesu”. Spotykamy się w jakże krótkim grudniu. Z najmilszych wiadomości: 20 grudnia – wigilie klasowe! Czyli początek przerwy świątecznej, która potrwa do 1 stycznia. Niestety na 2 i 3 stycznia wracamy w skromne progi Zespołu Szkół Łączności...

Byliście grzeczni tego roku? Chyba tak, bo święty Mikołaj zaglądnął do szkoły (a jeśli nie był u was, to wiadomo dlaczego - niedobre dzieci, niedobre...). Mikołaj wraz ze swoją ekipą odwiedzał klasy i rozdawał cukierki.

W tym samym czasie (wiadomo 6 grudnia) miała miejsce wizyta Komisji ds. Edukacji i Mediów Unii Metropolii Polskich. Odbędzie się konferencja i przybyli goście odwiedzili pracownię naszej szkoły.

Cukiernia pod spalonym rezystorem, mówi Wam to coś? Jeśli ominiecie słodkie przerwy w ZSŁ, to dużo straciliście. Dzień przed Mikołajkami odbyła się akcja pomocy dla Domu Małego Dziecka im. Jana Brzechwy w Krakowie. Sprzedawane ciasta były autorstwa uczniów szkoły, wspólnymi siłami zebrano kwotę 1570,73 zł, która zostanie przeznaczona na zakup rzeczy potrzebnym maluchom. Poza tym zbierano również inne potrzebne środki dla Domu Dziecka takie jak: żywność i środki higieniczne.

W tym roku również wspieraliśmy Szlachetną Paczkę. Uzbierano prawie 1100zł, które zostały przeznaczone na potrzeby wybranej przez nas rodziny (głównie jest to węgiel opałowy).

Mega dobra informacja dla fanów Wiedźmina! Do naszej biblioteki trafiły aż 3 egzemplarze „Sezonu burz”. Biegiem do biblioteki i czytać! Z innych książek mogę polecić „Inferno” autorstwa Dana Browna. Warto wspomnieć, że w naszej bibliotece stoi i grzeje półkę kontynuacja „Łśnienia”, czyli „Doktor sen” Stephena Kinga.

12 grudnia odbył się pierwszy etap Konkursu Wiedzy o Historii i Kulturze Irlandii. Zobaczymy, co z niego wynikło i kto przeszedł dalej.

To chyba na tyle w grudniowym Newsie. Z najlepszymi życzeniami na Boże Narodzenie! Do zobaczenia w styczniu.



Miód i alkohol

Krzysztof Franiek

WIĘKSZOŚĆ Z NAS SŁYSZAŁA O MIODZIE PITNYM, ALE CO TO W OGÓLE JEST?

Czytając szkolną lekturę, jaką jest „Potop” Henryka Sienkiewicza, wielokrotnie natrafiamy na sytuacje, w których Onufry Zagłoba pije miód. Pije? Przecież to do picia za gęste. Nie o taki normalny miód naszemu Nobliście chodziło, lecz o miód pitny – trunek wytwarzany od starożytności, do czasów dzisiejszych. Przez wiele wieków eksportowany z Rzeczypospolitej, ceniony za swoją jakość. A z czego miód pitny powstaje?

Tworzy się on w procesie fermentacji, czyli tak jak zwykłe wino, z tą jedną różnicą, że cukier zawarty w owocach, zastępuje cukier zawarty w miodzie – i tutaj rodzą się koszty, gdyż prawdziwy miód tani nie jest. Jeśli już mówimy o kosztach, to należy wspomnieć, iż w dużej mierze zależą one od rodzaju miodu, jaki chcemy zakupić. Wyróżniamy cztery podstawowe rodzaje, pod względem zawartości miodu: czwórniaki, trójniaki, dwójniaki i półtoraki – i tak kolejno: do zrobienia czwórniaka należy użyć trzech miar wody i jednej miary miodu (1/4 zawartości miodu), do trójniaka dwóch miar wody i jednej miary miodu (1/3 zawartości miodu) itd. Oczywiście dochodzą do tego odpowiednie drożdże, przyprawy i cała masa umiejętności, które trzeba posiadać, aby zrobić dobry miód pitny.

Gdzie taki miód kupić? W lepszym monopolowym czy trochę większym spożywczym można natknąć się na butelkę czwórniaka nawet za dwadzieścia złotych. Osobiście miodem pitnym bym tego nie nazwał – gdyby nie etykieta, to pomyślałbym, że to wino z domieszką aromatu miodowego. W hipermarkecie mamy większy wybór, można nawet znaleźć półtoraka, lecz ceny odstraszą. Za butelkę dobrego dwójniaka trzeba zapłacić od pięćdziesięciu złotych w górę. Dobry miód pitny możemy też kupić w sklepie pszczelarskim. Podsumowując ten akapit, może i dobry dwójniak tani nie jest, lecz z drugiej strony choć raz w życiu warto posmakować.

Ostatnimi czasami zyskuje na popularności miodówka – trunek, którego na sklepowych półkach nie znajdziemy, a jego producentami (na potrzeby własne) są zazwyczaj sami pszczelarze. Pokróćcie mówiąc, jest to mieszanina miodu, czystego alkoholu etylowego i odpowiednich przypraw – dobór zależy od receptury. Napój ten odznacza się dużo większą zawartością alkoholu (30% – 80%) niż miód pitny (<18%). Proces produkcji jest mniej skomplikowany i trwa znacznie krócej.

To wszystko w tym artykule z miodowych alkoholi. Reasumując widać, że nie są one tanie, gdyż składniki, z których są tworzone, zaliczają się do kosztownych, a i sam miód z nieba nie leci, o tajnikach skomplikowanych receptur i czasochłonności już nie wspominając.



http://sz.bionmedia.pl/

Prawo jazdy i pierwszy samochód

Adrian Adamczyk

KIEDY ZACZAĆ I CO KUPIĆ, ABY MÓC MIŁO JEŹDZIĆ?

Szkola średnia to czas wchodzenia w dorosłość i planowania swojego życia. W związku z tym wiele osób chce zdobyć prawo jazdy. Nie wszyscy chcą je mieć, ale są i tacy, co nie mogą się go doczekać. Jedni zaczynają przed 18-stką, drudzy nie mogą się zdecydować, myśląc: „może po szkole, po maturach?”, „na co mi teraz prawo jazdy, skoro do szkoły i tak dojeżdżam MPK”. Ja uważam, że jeśli jest tylko taka możliwość, to należy zacząć właśnie w okresie szkoły średniej, i mieć to z głowy. Osoby niezdecydowane często zostają bez prawa jazdy. Nie da się zdać i zostać od razu wspaniałym kierowcą, jest to umiejętność, której uczymy się praktycznie przez całe życie, dlatego jeśli już zdecydujemy się zostać kierowcą, to należy zacząć jak najwcześniej. Mając już „prawko” i będąc podszkolonym w jeździe, trzeba zrobić następny krok, czyli kupno swojego auta. Duży wpływ na tę decyzję mają rodzice. Niektórzy nie mają wystarczającej ilości pieniędzy i oferują jazdę swoim samochodem, inni szczęśliwcy dostają od rodziców wypasioną furę. Jeśli jednak to ty musisz lub chcesz kupić swoje auto i uezbiarałeś jakąś kwotę, to nie ma na co czekać, czas zacząć poszukiwania.

Poradnik jest napisany raczej dla tych, którzy nie chcą wydawać sporej sumy na pierwsze auto, mające służyć tak naprawdę do nauki jazdy dla osób, które nie posiadają dużej kwoty na samochód lub takich, którzy po prostu kochają się w starszych samochodach. Aczkolwiek nie jest powiedziane, że tylko tańsze i starsze auta mogą mieć wady i zaskakiwać przykrymi niespodziankami.

Na kupno używanego auta składa się wiele czynników. Musimy się zdecydować, jak często i daleko będziemy nim jeździć, czy musi mało palić, czy zależy nam na jego wyglądzie zewnętrznym jak i wewnętrznym i czy będzie nas stać na jego utrzymanie. Napiszę teraz, na co należy zwracać uwagę przy kupnie używanego samochodu.

Uwaga! Rynek polski, jak wiadomo, oferuje zazwyczaj sprowadzane auta, a co za tym idzie, niekoniecznie przed sprowadzeniem były w całości :). Warto zwracać uwagę, czy nie było poważnie naprawiane.

Ważne jest, by wiedzieć, czy nasz wybrany model posiada karoserię z ocynkowanej blachy. Co to znaczy? Ocynkowana blacha daje nam szansę, że nasze auto nie będzie nam korodowało, o ile nie było wcześniej rozbite i naprawiane. Ważne przy oglądaniu samochodu jest zwrócenie uwagi na stan progów, błotników i podłogi, aby nie była ona pordzewiała i nie posiadała dziur, przecież chyba nikt nie chce, aby nasze auto wyglądało jak to, rodem z „Flinstonów”.

Każdy model dysponuje różnymi rodzajami silników. Zbyt dużo ich jest, by pisać o nich w tym artykule, niemniej jednak warto przed kupnem poszukać i poczytać różne opinie na temat konkretnego silnika w danym modelu, chociażby w Internecie.

Wiele osób może myśleć, że nie ma sensu kupować starego auta, bo będzie się psuło itd.,

Jeśli jednak kupujemy stary, ale łatwo dostępny na rynku model auta, to mamy pewność, że te części nie będą drogie. Również nowy samochód może się psuć, a to jest o wiele droższe w naprawie. Tak naprawdę dużo zależy od szczęścia, nigdy nie jesteśmy w stanie stwierdzić ile będziemy musieli dołożyć do naszego samochodu. Może to być nasza skarbonka, z której nie odzyskamy pieniędzy. Warto jednak pamiętać, aby kupione auto było zadbane, miało czysty środek, praca silnika była w porządku i jak najmniej słyszalna, a karoseria miała najlepiej oryginalny lakier.

To wszystko może nam dać spore szanse, że kupimy samochód, którym się będziemy cieszyć, a jazda nim będzie nam sprawiała tylko przyjemność.

Sztuka z pierwszej strony

serfer

CHCIAŁBYM W TYM TEKŚCIE UCHYLIĆ RĄBKĄ TAJEMNICY O MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W REDAKCJI „MARGINESU”.

Często zastanawiam się, czy są osoby, które zwracają uwagę na okładki „Marginesu”, a nie bezwiednie przewracają stronę w poszukiwaniu krzyżówek lub jakiegoś zjadliwego tekstu, żeby zabić ewentualną nudę na lekcji. Nie chodzi mi o zwyczajne spojrzenie na pierwszą stronę, lecz o chwilę refleksji. Tak naprawdę nawet już się nie łudzę, w najlepszym wypadku mogę liczyć na komentarz w stylu: „fajne”. To takie puste słowo, które nic nie znaczy, które mówi się wtedy, gdy chcemy komuś schlebić lub po prostu zbyć. — Kupiłam sobie nowe buty. — Fajnie — odpowiedział „wielce zafascynowany”. Nie uważam się za jakiegoś wielkiego artystę, który potrzebuje peanów na temat swoich prac. Mimo wszystko miło jest usłyszeć słowa, które świadczą o tym, że osoba przeanalizowała choć w małym stopniu moją pracę.

Rysuję z zamiłowaniem i tę aktywność traktuję raczej jako hobby. Do „Marginesu” dostałem się dlatego, że... rysowałem na lekcjach Pana Bogusza. Dzięki wspaniałomyślności naszego Polonisty, który pała uwielbieniem do sztuki, mogę teraz rozwijać się na łamach tego prestiżowego już czasopisma szkolnego. Pierwszą moją pracą, która została opublikowana w gazecie, był rysunek graffiti, który został wciśnięty na ostatnią stronę w bardzo małym formacie. Bardzo z tego powodu ubolewałem, dlatego też postanowiłem zabrać się za coś większego. W listopadowym wydaniu „Marginesu”, w 2011 roku, ukazała się moja pierwsza okładka, która spotkała się z dużą aprobatą ze strony redakcji. Od tamtej chwili tworzę okładki co miesiąc i do tej pory zbierał się całkiem spory stosik.

Początkowe okładki były czymś w rodzaju jednego wielkiego doodla (z ang. doodle — gryzmolić bazgrać), które ja nazywam „kompozycjami”. W całości ręcznie rysowane zestawienie różnych symboli, postaci i napisów ściśle lub luźno powiązanych z danym miesiącem. Starałem się w nich umieścić dużo informacji, często w sposób humorystyczny. Poza tym chcę, aby całość tworzyła całkiem niezgorszy efekt wizualny. Bardzo ciekawym — według mnie — przykładem jest okładka z numeru styczeń/luty 2012 — wyważony kontrast i duża czcionka na środku sprawiała, że ten chaos nabierał pewnej spójności.

Były też okładki komiksowe lub stylizowane na komiks. Zawsze marzyłem o okładce w stylu Marvela, lecz jak na razie dużo mi brakuje. Właśnie taką namiastką lub nieudolną próbą możemy nazwać okładkę, w której mama stoi w pokoju syna, trzymając w ręku nowe książki dla swojej pociechy. Syn reaguje na to mówiąc: „O fajnie! Będę mógł skończyć budowlę” — był on mianowicie otoczony murem z książek, między którymi były tory kolejki. Obraz w sposób ironiczny przedstawiał powakacyjny słomiany zapał do nauki. Przekaz banalny, lecz nie przez wszystkich zauważalny. Swoją drogą ukryłem na tej okładce swoje inicjały...

Kolejnym skokiem było wykorzystanie grafiki komputerowej w moich pracach. Numer specjalny o Euro 2012 był przełomowy dla nas wszystkich (mam na myśli redakcję). Oprócz mojej pierwszej okładki tworzonej w pełni na komputerze, wielkie zmiany pojawiły

się również w składzie gazety, a wraz z nim limity. Chciałbym jednak napisać o innej okładce. Osiem miesięcy po numerze specjalnym ukazał się numer styczeniowy. Moim zdaniem ma on najlepszą okładkę spośród tych, które do tej pory wyszły spod mojej ręki. To jest jedna z tych okładek, które robiłem najdłużej, w które włożyłem najwięcej pracy. Tutaj jednak nie tylko to się liczyło. Oprócz wykonania ważny jest sam koncept. Nazwałem ją „wir czasu” — przedstawia ona liczbę „2013” w dość niekonwencjonalny sposób. Moja fascynacja geometrią w sztuce wyszła tutaj na jaw, w pełni eksponując bryły i perspektywę. Do jej stworzenia wykorzystałem metody tradycyjne jak i obróbkę komputerową, która nadała jej finalny kształt. Oczywiście tak wyjątkowa okładka potrzebowała również godnej oprawy, dlatego też opracowałem nowy design nagłówka i stopki okładki — od tamtej pory możecie oglądać logo „Marginesu” rozciągnięte na całą szerokość kartki.

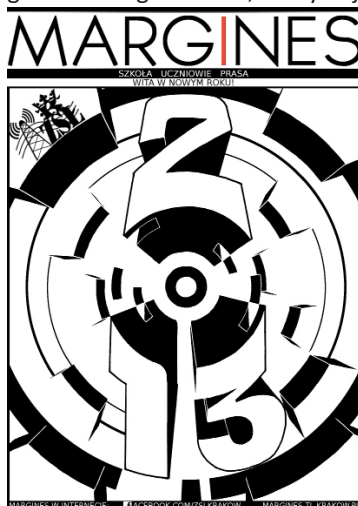
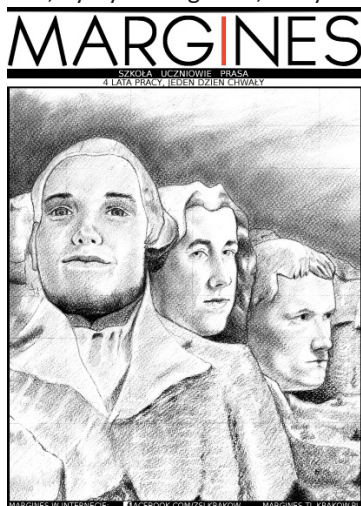
Wartym uwagi obrazkiem jest również ten przedstawiający byłych członków redakcji, których to głowy zostały przeze mnie wkomponowane w górę Rushmore. Włożyłem w nią równie tyle pracy, co w „wir czasu” (a może nawet więcej). Był to pomysł naszego byłego naczelnego Kastela, który zajął zaszczytne miejsce prezydenta Georga Washingtona. Ci, którzy znają Pawła Kastelika, doskonale wiedzą, czego to było wyrazem, zresztą on sam tego nie ukrywał. Mimo wszystko myślę, że udo-bruchałem krytyczne podniebienie Kastela, w końcu nie każdy ma zaszczyt zostać sportretowany przez tak znamienitego artystę, jak ja...ekhem. Myślę, że już dość tej hipokryzji i tych pomników. Przejdźmy więc dalej.

Choć początki były trudne, to nie brakowało mi inwencji i pomysłów na kolejne okładki. Nie ograniczam się do jednego stylu.

Wydaje mi się, że okładki „Marginesu” są różnorodne, przynajmniej staram się, żeby takie były. Z każdą kolejną uczę się czegoś nowego, choć nie zawsze mam czas, wenę i pomysł na nią. Są takie, które powstały w kilkanaście minut i są takie, na które poświęciłem kilka bitych godzin. Są takie, które moją zawarte w sobie wiele sensu, a także takie, które niewiele wspólnego mają z danym miesiącem.

Lubię to uczucie, kiedy mogę patrzeć na gotowy egzemplarz ze swoją okładką, szczególnie gdy wiem, że mogę dołożyć ją do tamtych poprzednich. Wiem, że wraz z redakcją wykonaliśmy kawał dobrej roboty. To uczucie satysfakcji i świadomość, że gdzieś tam pozostaniemy, jest naprawdę budujące. Dobrze byłoby pamiętać o tym, ile pracy włożyliśmy w dany numer, kiedy następnym razem ktoś chciałby beztrząsco wyrzucić „Margines” do kosza. I gdy już ten ktoś będzie spoglądał od góry na wierzchnią część pisma leżącego w otchłani odpadków, może choć to skłoni go do chwili refleksji na temat okruszyny sztuki, którą dzięki pasji i chęci dzielenia się nią z innymi miał podarowaną w tym miesiącu...

P.S.: Mam nadzieję, że wam się podoba okładka w tym numerze. Jeśli ktoś by miał jakieś sugestie, chciałby się podzielić opinią na temat okładek lub zechciałby może ze mną współpracować przy tworzeniu grafiki do „Marginesu”, proszę pisać na adres margines@tl.krakow.pl.



Po dość długiej przerwie w końcu kontynuacja serii artykułów o podróży do Indii i Nepalu

Tomasz Nowiński

KOLEJNA CZĘŚĆ PODRÓŻY PO INDIACH, CZYLI OPUSZCZAMY TURYSTYCZNY TRÓJKĄT INDII.

Wstawiamy o 6.30. Czekają nas długa i męcząca podróż do Orchhy [orczy], jednoznaczna z opuszczeniem najbardziej uczęszczanych przez turystów szlaków. Zostaliśmy przygotowani przez kierowców, że drogi będą w o wiele gorszym stanie i podróż do oddalonej raptem o 230 kilometrów miejscowości zajmie cały dzień.

Tereny, przez które przejeżdżamy, są bardziej zazielenione niż to wszystko, co widzieliśmy do tej pory. W oczy rzuca się jeszcze większa bieda, żeby nie powiedzieć ubóstwo. Po drodze zwiedzamy Fort Gwalior, z którego rozciąga się przepiękny widok na okolicę. Zbudowano go na wzgórzu o względnej wysokości stu metrów. Cała budowla obwarowana była dziesięciometrowym murem. Głównym budulcem był biały piaskowiec. Jednak spędziliśmy w forcie tylko kilkanaście minut, ponieważ dalsza podróż była bardzo długa i nie mogliśmy marnować czasu. Podczas jazdy dość często musieliśmy zatrzymać się, ponieważ gdy tylko zmieniliśmy drogę lub wjechaliśmy do innej części stanu lub innego stanu, należało uiścić opłatę. Trzeba było też mieć specjalne zezwolenie umożliwiające podróż po całych Indiach. Po drodze weszliśmy do udostępnionej turystom części pałacu Maharadży, aktualnie ministra energetyki.

Do Orchhy dotarliśmy około godziny 19. Jest to wioska nad rzeką Betwą, założona w 1531 roku. Zachowały się oryginalne pałace i grobowce. Od razu pojechaliśmy do naszego hotelu. Wieczorem pokaz tańca ludowego tej części Indii. W hotelu był darmowy Internet, z czego chętnie skorzystałem. Dawno już nie miałem kontaktu ze światem. :) Nie mogłem jednak zbyt długo tego wykorzystać, ponieważ mieliśmy spędzić tu tylko jedną noc, a rano trzeba było wstać, aby zobaczyć wschód słońca nad rzeką, co według przewodnika miało nastąpić około 6 rano.

Pobudka. Ciemno. Słońca nie ma. Ale nic, idziemy i czekamy. Po pół godzinie stwierdziliśmy, że nasz przewodnik chyba sobie z nas żartował, ale jak już wstaliśmy, to czekamy. W końcu około 7.10 weszło wyczekiwane słońce, jednak bez większych rewelacji. Doszedłem do wniosku, że nie warto było

wstawać. Poza tym straszliwie zimno. Jak to mówią „Polak mądry po szkodzię”. :) Najciekawsze chyba były sępy przysiadające na grobowcach. Wszystkie rzeki wpadające do Gangesu są święte, taka też jest pobliska Betwa. Można było zobaczyć kąpiących się w niej Hindusów. Wróciliśmy, spakowaliśmy rzeczy i po wrzuceniu ich do autobusu poszliśmy zwiedzać Orchhy. Było to około godziny dziesiątej. Miejscowość mała, lecz bardzo urokliwa, troszkę na uboczu, jakby zapomniana. Ob-



fituje jednak w piękne budowle, pozostawione w swoim oryginalnym stanie. Handlarze nie są już tak nachalni jak w dużych miastach. O 13 wyruszamy w dalszą drogę, 180 kilometrów do Khajuraho [kadzuraho], a więc żegnamy się z Rajastanem [radżastanem] i wjeżdżamy do Paradeshu [paradeszu]. Bieda jeszcze większa. Po ciężkim dniu trzeba tylko napisać parę zdań do notatnika i można w końcu udać się na upragniony wypoczynek.



Czy piekło można naprawić?

Monika Sajbura

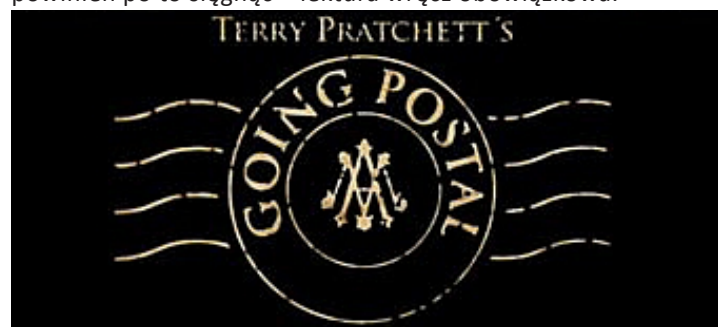
TYM RAZEM COŚ DLA FANÓW FANTASTYKI... I POCZTY.

Zawsze byłam sceptycznie nastawiona do serii Terry'ego Prattcheta „Świat Dysku”. Najczęściej, jeżeli widzę, że jakaś seria książek ma ponad 30 tomów, od razu się zniechęcam. Na „Piekło pocztowe” trafiłam zupełnie przez przypadek i nawet nie zwróciłam uwagi, że jest wydana jako 33 pozycja „Świata Dysku”. Nie odniosłam wrażenia, że jest wyrwana z kontekstu jakiejś większej fabuły i nie miałam problemów z nieznanymi bohaterami. Właściwie to wszystkie książki, jakie czytałam z tej serii, mogłyby być spokojnie czytane bez znajomości poprzednich. Wracając do „Piekła pocztowego”, jest to książka, jak sam tytuł wskazuje, o poczcie. Poczcie w Ankh-Morpork, która zamieniła się w piekło. Głównym bohaterem jest oszust i złodziej Moist von Lipwig, który został skazany na śmierć. Jednak patrycjusz Ankh-Morpork dał mu ultimatum: albo zginie albo przywróci do życia pocztę, która upadła wiele lat wcześniej przez nieuczciwą konkurencję. W końcu kto by sobie lepiej poradził z przekrętem niż jeden z najlepszych szalbierzy?

„Piekło pocztowe” jak na fantasy zaskakuje poczuciem humoru, wartością akcji i dość szczegółowym portretem psychologicznym bohaterów. Z jednej strony mamy głównego bohatera - poczmistrza z kryminalną przeszłością oraz tajemniczą Pannę Dearheart, a z drugiej bezwzględne Reachera Gilta, który jest jeszcze większym szachrajem niż Lipwig. W tym wszystkim również świetnie spełnia swoją rolę patrycjusz Ankh-Morpork, który jest prawdziwym geniuszem i strategiem. Nie może też zabraknąć miejsca na poboczną postać, która rozśmiesza czytelnika, kiedy tylko pojawi się w akcji. Mowa tu o Stanley'u, kolekcjonerze szpilek, który zapoczątkował filatelistykę. Każda postać idealnie odgrywa swoją rolę w całej fabule, żadna nie jest zbyt przekoloryzowana, co często zdarza się w książkach tego gatunku.

Książka, jako jedna z niewielu z tej serii, posiada rozdziały, które były poprzedzone kilkoma zdaniem lub słowami-kluczami zapowiadającymi wydarzenia. Nie zniechęcało to absolutnie do czytania, wręcz przeciwnie rozbudzało to jeszcze bardziej moją ciekawość. Terry Prattchet perfekcyjnie dobiera słowa i wie, kiedy zakończyć akcję, bez przeciągania i bez niedopowiedzeń, a przy tym jeszcze fenomenalnie posługuje się karykaturą i groteską.

Cała książka jest satyrą pokazującą w krzywym zwierciadle usługi pocztowe i telekomunikacyjne oraz wyśmiewa zasadę „po trupach do celu”, zwłaszcza używaną przez bezwzględnych zarządców dużych korporacji. Każdy, kto ma ochotę na przeczytanie czegoś śmiesznego, cynicznego i inteligentnego zarazem, powinien po to sięgnąć – lektura wręcz obowiązkowa.



Streaming, zabawa czy praca?

Adam Fish Rybicki

WIELU Z WAS MARZY PEWNIE, BY DUŻO ZARABIAĆ, NIE MĘCZĄC SIĘ PRZY TYM ZA BARDZO. TU Z POMOCĄ PRZYCHODZĄ KOMPUTER ORAZ INTERNET.

Każdy pracujący może powiedzieć, że siedzenie przed komputerem i granie w gry to nie jest prawdziwa praca i nie idzie na tym zarobić prawdziwych pieniędzy. Okazuje się to nieprawdą. W dzisiejszych czasach, kiedy ludzie odsuwają się od telewizji, bo tam już nie ma nic ciekawego, wszystko co nowe od dawna jest w Internecie - zresztą ileż można oglądać w kółko jedno i te same filmy. Tak samo o pracę łatwiej w sieci i nie chodzi mi tu o taką zwyczajną pracę, lecz o pracę profesjonalnego gracza lub streamera (jedno nie wyklucza drugiego). Kim jest profesjonalny gracz? Jest to ktoś, kto swoją grą popisuje się na scenie e-sportowej. Na dzień dzisiejszy mamy kilka gier, w których rozgrywają się turnieje światowe, gdzie pula nagród przekracza sumę miliona dolarów. Te gry to: League of Legends, która jest najpopularniejsza na ten moment oraz której turniej odbył się w naszej szkole, Dota 2, nasz narodowy sport elektroniczny Counter Strike oraz Starcraft. Czym różni się gracz profesjonalny od tak zwanego gracza przeciętnego? Godzinami spędzonymi nad graniem w jedną i tą samą grę. Przeciętny gracz spędza od dwóch do czterech godzin przy tej samej grze, gdzie gracz profesjonalny spędza jednego dnia od siedmiu do dwunastu godzin, a streamer nawet i cały swój wolny czas. Każdy profesjonalny gracz musi przejść przez szereg kwalifikacji do turnieju, by zmierzyć się najlepszymi graczami na świecie, a jest o co walczyć, gdyż nie tylko można zarobić dużą ilość pieniędzy, ale również zdobyć popularność. Do czego potrzebna jest ta popularność? Do tego, by zacząć streamować, czyli grać i udostępniać relacje na żywo na portalach internetowych służących do tego typu bajerów. Wybór gier jak i graczy, którzy w nie grają, jest ogromny i każdy fan LoL'a czy CS'a znajdzie coś dla siebie. Oczywiście można to traktować również jako zabawę, ale większość ludzi robi to z przyczyn czysto materialnych. Użytkując partnerstwo z serwisami streamerskimi, osoba streamująca jest w stanie wyświetlać reklamy, za które otrzymuje pieniądze. Kiedyś, przed udoskonaleniem takiego serwisu jak twitch.tv istniał serwis own3d.tv. Właściciele tej strony nie pomyśleli, jak duże zyski może przynosić streamowanie, przez co nie byli przygotowani na należyte płatności graczom i w rezultacie zbankrutowali, lecz kilka tygodni po tym zdarzeniu został uruchomiony nowy serwis, z nową stroną i możliwościami, którego właściciel nie popełnił, tych samych błędów co poprzednicy, dzięki temu na chwilę obecną jest to najpopularniejszy serwis do streamowania w Internecie. Kwoty, które uzyskują ludzie za samo pokazywanie ekranu własnego monitora i rzeczy dziejących się na nim, w zależności od ilości wyświetleń i ilości wyświetlonych reklam, są w stanie utrzymać rodzinę, wynająć mieszkanie czy kupić samochód, a wszystkie te pieniądze mogą zarobić, nie wychodząc nawet z własnego pokoju.

Nie wiem, dokąd zmierza telewizja w dzisiejszych czasach, ale wiem na pewno, że streaming będzie telewizją jutra.

Utopijna idealność

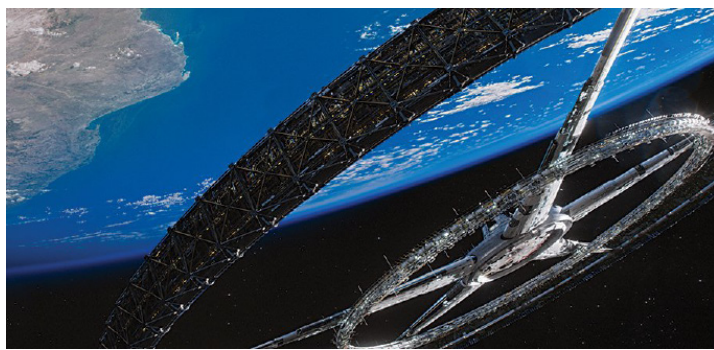
Konrad Sznajder

UTOPIE SĄ LUBIANYM TEMATEM, ALE ZAWSZE SĄ PO-KAZYWANE JAKO COŚ, CO JEST NIEMOŻLIWE DO OSIĄ-GNIĘCIA LUB SPROWADZAJĄCEGO NIESZCZĘŚCIE.

Ale co jeśli tak nie jest? Kultura wytworzyła sztuczny i niezbyt prawdziwy obraz utopijności jako czegoś niemożliwego do osiągnięcia, czegoś co zmuszałoby ludzi do posłuszeństwa i kierowania się określonymi z góry narzuconymi prawami. Jest w tym trochę racji, ale nie całkiem.

Świat może być idealny, ale ludzie nie potrafią i nie chcą się godzić na pewne rzeczy, pomagać innym czy się dzielić. Chcą jedynie, by żyło im się dobrze, nie zważając na skutki, jakie wywołują, próbując to osiągnąć. Innymi problemami są różnice kulturowe i religijne, które negatywnie wpływają na społeczeństwo. Widać to teraz bardzo dobrze, gdy ci mniejsi chcą narzucić swoje racje tym większym, nie zważając przy tym na prawo. Ale to nie oznacza, że w celu stworzenia idealnego świata musimy pozbyć się wszystkich cech czyniących nas unikalnymi, porzucić naszą kulturę i religię, by ślepo podążać za zbiorem jakichś praw. Takie prawa oczywiście muszą być, ale muszą one być respektowane, niezależnie od tego, kim się jest, a przy tym nie można narzucać innym swojej kultury i wiary, lecz zachować ją dla siebie i pozwolić innym wierzyć w coś innego i mieć odmienną kulturę... Dużym problemem jest też mocne przywiązanie do pieniądza. To on teraz rządzi światem, by coś mieć, trzeba zarabiać. Tworzy to duże podziały; jedni chcą po prostu zarobić, by przeżyć, inni by mieć jak najwięcej. W ten sposób, światem rządzą ci, którzy mają najwięcej, oni decydują o wszystkim i korzystając ze swojej władzy, obracają wszystko, by działało według ich woli. By się tego pozbyć, trzeba pozbyć się pieniądza i stworzyć świat, w którym dając coś, dostajemy coś w zamian. Pracując na rzecz społeczności, pracujemy na siebie. Wszystko jest łatwo dostępne, ale wymaga to, by każdy chciał pracować dla wspólnego dobra i całej społeczności. Jest to bardzo trudne do osiągnięcia, bo nikt nie wierzy, by coś takiego miało prawo bytu. Musimy w tym celu porzucić nasz dotychczasowy sposób bycia, stworzyć nowe prawa i nowy porządek polityczny. Zacząć to wszystko od nowa, zbudować na nowym fundamencie, który będzie solidną podstawą. Osiągnięcie tego jest bardzo trudne i zajmie wiele czasu i być może, jeśli szybko na to nie zwrócimy uwagi i nie zaczniemy w tym kierunku się posuwać, może wydarzyć się wiele złego. Ale jeśli jednak to osiągniemy, wszyscy zyskają. Technika ruszy gwałtownie do przodu, a ludzi nie będzie męczyć już wojna. Praktycznie wszelkie aspekty życia ulegną drastycznej zmianie. Największym problemem jest sprzeciw korporacji i ludzi, którzy wykorzystują swoje wpływy, by zdobyć jak najwięcej dla siebie. Będą oni mocno przeciwstawiać się takim zmianom, bo odebrałyby one im wszystko i postawiłyby na równi z innym. Dążenie do tych zmian może spowodować wiele niechcianego, ale trzeba się z tym liczyć.

W końcu gdyby nie chęć podjęcia ryzyka, wiele rewolucji by nie wybuchło i nie zmieniło oblicza historii. Nie obawiajmy się więc i dążmy do tego, co ponoć niemożliwe.



wigilijny symbol	np. sądowy	ograniczenie, granica	górny pokład statku	nauka mistyczna	kolega Tomka Sawyera	miasto w Lombardii	przeciwnik alpinisty
...	Broz Tito	uszkodzenie ostrza	cela karna w więzieniu	mały wandal	zabijanie dla mięsa		do spulchniania ziemi
Lang, kolarz					wśród owoców morza	rodzaj okrętu wojennego	ma ma-cochę
jasny, żółtawy kolor			wielki kamasz	więzień nadzorca	sultanat na Płw. Arabskim		
może komuś odbić	jedyny prezydent ZSRR	łączy Opole i Szczecin	zespół z Beatą Kozidrak	Paul, kanadyjski wokalista	litera grecka	perelki z mgiełki	
							Costa, piłkarz
pielęgniownia					pustelnia		Zedong
					kolejka bez torów		
szybkie, głośne mówienie		duże jezioro w Wenezueli					

zaginiona w filmie	żywność	wart pałaca	wstyd, poniżenie	grządką kwiatowa	czynność z miernikiem	tam działała Matka Teresa
państwo z Burami		wojenny emeryt				plaż ogonisty
tam walczyło "Pole-sie"			wśród mebli	marka wódki		
		nie owoc, a na kompot	furtka			
zarost z boku głowy	wojsko			materiał na welon		
			rozbita ze śledziemi	wypadek w peletonie	układ ćwiczeń w karate	
arka	bank internetowy			Chaczaturian		
ich funt mało warty	marka ośmiobitowa				kończy żywot	Moore, aktorka
do wyprawiania skóry	framuga obrazu			znajomy kalfarza		wśród planet
				Muller, piłkarz		
pasemko drewna	obok Aramis			Sharif		
		ciemny krzew na żywiol				

samo-bójstwo po japońsku	nierozdany e-mail	kręcone włosy	Ronald, były piłkarz	dłoni na powitanie	kolega Maszalskiego	... Kohl, były kanclerz Niemiec	kończy górne
					pragnienie, zamiar		
ręczny w aucie	Powell, sprinter z Jamajki	tworzy szkielec					Meg, aktorka
					żona Kronosa		
dawniej niewolnik, sługa	lek na pamięć	Kusturica, reżyser			duchowieństwo	dawne Zimbabwe	
		pogardliwie o insektach	praktyka sądowa				
koronkowa w oknie					brzmienie, barwa		
		złomu lub żywca	Donald z rządu	sądowe dokumenty	czerwony złoty	obok dni w serialu	karabin maszynowy
aureola słoneczna	zamówienie pod wymiar						
					zwierzę z broda		
jeden z proroków	zdołają książki						
niejedna w parkiecie					o drużynie		

Zwierzęca krew

@ndrzej

NIE KAŻDY WIE, ŻE POD ŚWIATEM ZWYKŁYCH LUDZI KRYJE SIĘ SKOMPLIKOWANY ŚWIAT ŻŁODZIEI I MORDERCÓW. JEDNAK NIKT NIE PRZEWIDZI, CO SIĘ STANIE, GDY TO ŻŁODZIEJE ZACZNĄ ZNIKAĆ. W TAKICH SYTUACJACH POCZCIWY ŻŁODZIEJ, ROVE, BĘDZIE MUSIAŁ PRZYSTĄPIĆ DO DZIAŁANIA

Rozdział 2

Kartograf siedział w swoim pomieszczeniu, w którym spotykał się z członkami Pętli. Był to dużych rozmiarów fragment korytarza mieszczący regały z książkami, biurko, krzesła i tablicę, na której wisiała płachta. Półokrągłe sklepienie zbudowane zostało z cegły. Kształt pomieszczenia był efektem tego, że kiedyś były to kanały. Nawet teraz nad nimi płynęła największa rzeka kontynentu. Rove zobaczył ruch tuż przy ścianie, a po chwili z cienia wyłonił się Kartograf. Był to mężczyzna znacznej postury, bardziej nadający się na żołnierza niż na szpiega. Krótko ostrzyżone włosy i brodę zdobiła siwizna tak gęsta, że większość uważała go za starca. Co prawda jak na szpiega był stary. Liczył już sobie czterdzieści lat. Większość ludzi trudniących się tym zawodem zdobiła szubienice w wieku lat trzydziestu. Ale Kartograf był najlepszy. Był on osobą zasadniczą, ale nie pozbawioną poczucia humoru. Nazwa Pętli i ich powitanie jej członków („Powodzenia i niech się Pętla nie zaciśnie”) wzięła się od najpopularniejszej kary dla złodziei. Chyba nawet leciwy król Ferdynand nie pamiętał, ilu szpiegów zawisło na rynku Ian Corony. Rove, nie chcąc bawić się w zbędne powitania, postanowił od razu przejść do rzeczy.

- Do czego jestem ci potrzebny?

- Nie wiem, czy dotarły do ciebie wieści o tym, że niektórzy z naszych giną bez śladu. Widzisz, jestem postawiony w takiej sytuacji, że potrzebuję czyichś rąk do pomocy. Padło na ciebie.

- Co mam zrobić?

- Potrzebuję informacji.

Rove oniemiał. Najlepszy szpieg ostatniego stulecia potrzebuje informacji. „Nieźle się zaczyna” - pomyślał. Kartograf, nie zważając na jego zszokowaną minę, kontynuował.

- Od miesiący poszukuję osoby, która jest odpowiedzialna za ataki na gildię. Do tej pory szukałem bezskutecznie, aż do zeszłej nocy. Moi ludzie pojмали jednego z winowajców.

- Wiesz, co to za osoba?

- Problem w tym, że nawet nie wiem, czy jest to osoba - powiedział Kartograf, ściągając płachtę z tablicy. Rove miał nigdy nie zapomnieć tego widoku.

Do tablicy przypięte było ciało, pokryte krótką, rudą sierścią. Miało na sobie ubranie oraz ręce i nogi. Sylwetką przypominało człowieka. Rove dostrzegł ogon i zamiast paznokci czarne pazury. Tam, gdzie powinna

być twarz, dostrzegł lisi pysk. Postać była wiotka i mimo zwierzęcego wyglądu miała delikatne rysy pyska. Założył więc, że była to zmutowana dziewczyna. Miała proste, rude włosy, które sięgały jej pleców.

- I co mam z nią zrobić? - zapytał oszołomiony widokiem.

- Masz dowiedzieć się o TYM wszystkiego, co dasz radę i zdać mi raport. Jeśli zdobędziesz jakieś informacje, przyjdź tu ponownie. Rove, przepraszam, że tak krótko streszczam sprawę, ale mam dużo spraw, a wiem, że jesteś najlepszy. Na razie cię zostawiam. Zdaję sobie sprawę, co się dzieje z resztą ludzi, którzy dla mnie pracowali, ale to ty jesteś teraz najpewniejszym człowiekiem w Pętli. Powodzenia. I oby ci się powiodło - odpowiedział Kartograf, odwrócił się i wyszedł zważnym krokiem z lochu.

Rove podszedł do lisa i przyjrzał się z bliska. Dziewczyna warczała cicho i oddychała miarowo, najwyraźniej śpiąc. Kciukiem podniósł jej wargę. Miała długie śnieżnobiałe kły. Za uchem dostrzegł skórę bez futra, w kształcie prostokąta. Na jasnej skórze napisane było: „VEN 9.03”. „Podobnymi znakami tatuuje się skazańców przed powieszeniem - pomyślał Rove - to przydatna informacja”. Mężczyzna dobrze znał ten tatuaż, ponieważ miał taki sam. Jemu udało się uciec, już z drewnianego podium szubienicy. Widocznie tej lisy także. Rozszyfrował tatuaż i po chwili zagadka lisy nabrała szczegółów. Ven to było jej imię. 9 oznaczało zawód, w którym pracowała. Dziewiątka znaczyła, że Ven to włamywaczka, 03 znaczyło, że miała zostać powieszona jako trzecia ze wszystkich złapanych. Rove miał numer 257. „Musi być stara” - przemknęło mu przez myśl. Stał tak zamyślony, że prawie nie uniknąłby śmierci. Lisica obudziła się i widząc przed sobą Rove’a, wyciągnęła szyję, by go ugryźć. Nie zrozumcie tej sytuacji źle. Rove nigdy nie zostałby zaskoczony w normalnej sytuacji. Jednak teraz był pod wpływem szoku. Na jego szczęście Kartograf dobrze przypiął Ven. Żęby nie sięgnęły celu. Rove odskończył od niej i rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie znalazł odpowiedniego przedmiotu, więc nożem odciął rękaw swego stroju i takim materiałem obwiązał jej pysk. Spojrzała na niego z wyrzutem. Jej oczy nie były oczami zwierzęcia, ale zielonymi oczami istoty myślącej. W tym momencie pałały one nienawiścią, lecz gdzieś w głębi Rove dostrzegł również wielkie cierpienie. Zastanowił się. Nie mógł jej tu zostawić, bo strażnicy pałacu

prędzej czy później odnajdą ją. Nie wiedział, co może z nią zrobić. Po krótkim namyśle postanowił, że zabierze ją do swego mieszkania. Na dworze było ciemno, więc nikt go nie zauważy, co najwyżej jacyś pijacy próbujący wrócić do domu. Rove zdjął płaszcz i pociął go na równe paski. Materiał skręcił i związał ze sobą, więc po chwili trzymał w rękach odpowiedniej długości linę. Podszedł do tablicy. Nożem podważył metal krępujący nadgarstki Ven i zanim zdążyła się zorientować, znów leżała związana. Mężczyzna zarzucił ją sobie na plecy, tak jak marynarze noszą swoje worki. Była lekka jak na swój wzrost. Wyniósł ją po schodach. Zahaczył jej głową o drzwi, ale zbytnio się tym nie przejął. Przeszedł po cichu salą wejściową i chwilę później odechnął świeżym powietrzem. Skręcił w prawą uliczkę, prowadzącą wprost do jego domu. Ven kilkakrotnie próbowała mu się wyrwać, ale trzymał ją mocno. W końcu udało mu się donieść ją do domu. Kopniakiem otworzył drzwi mieszkania, po czym wrzucił ją do szafy. Zatrasnęła skobel. Szafa zaczęła się trząść, ale nie przejął się tym. Była późna noc, a on był zmęczony. Rzucił na podłogę wszystkie noże, z wyjątkiem jednego, który włożył pod poduszkę. Szybko zasnął.

Obudził go przeciągły dźwięk. Poderwał się do góry i rozejrzał po ciemnym pokoju. Zobaczył ciemny kształt zbliżający się do niego. Był jeszcze zaszpany, więc nie zdążył skojarzyć wszystkich faktów. Nagle poczuł piekący ból w barku. To Ven podrapała go pazurami w bark. Ból go ocucił. Szybko poderwał się na nogi i pociągnął ją za rękę z nożem, równocześnie podstawiając jej nogę. Ven zwała się na ziemię. Dосkoczył do niej, chwycił nóż i przygwoździł jej rękę do podłogi. Krzyknęła głośno i próbowała wyrwać nóż sterczący jej z dłoni. Rove podbiegł do okna przyciskając rękę do rany na barku. Zaryglował je, pozbierał wszystko, czego potrzebował i wyszedł z mieszkania. Zamknął drzwi na klucz i oparł się o ścianę. Potrzebował pomocy, ale nie wiedział, kto mu może jej udzielić. Rana nie była głęboka, lecz stosunkowo szybko tracił krew. Najbliżej mieszkał Vladimir. On go opatrzy i pomoże rozwikłać sprawę lisy. Rove chwiejnym krokiem skierował się w stronę mieszkania Vlada. Czuł się coraz słabszy, lecz non stop szedł naprzód. Jako złodziej uodpornił się na ból. Rove miał szczęście, że Vlad mieszkał niedaleko. Gdy tylko Vladimir otworzył mu drzwi, Rove osunął się na podłogę i zemdlał.

Gry na szybką przerwę

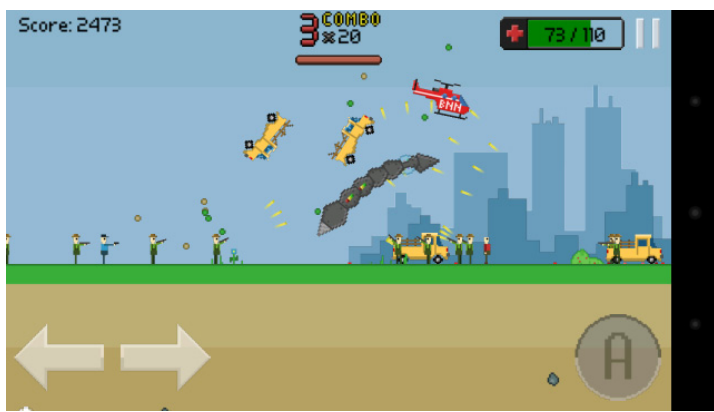
Konrad Sznajder

JEŚLI CHCIELIŚCIE KIEDYŚ BYĆ FIOLETOWĄ OŚMIORNICĄ Z LENIWCEM NA PATYKU LUB WIELKIM ROBALEM, TRAFILIŚCIE W DOBRE MIEJSCE.

Na pierwszy ogień idzie Quadropus Rampage, typowy slasher w naprawdę szalonym sosie. Prosto od twórców Butterscotch Shenanigans dostępny na platformy Android i iOS. Gra, która ma, mimo oklepanego tematu, sporo frajdy do zaoferowania i podaje to w genialnie absurdalnym stylu. W trakcie rozgrywki nie sposób się nie uśmiechnąć, gdy podczas rozgrywki po pokonaniu kolejnej fali wrogów, w naprawdę pięknym stylu, dostajemy nową i lepszą broń, którą jest... leniwiec na patyku o nazwie równie nietypowej co ona sama. Mamy tu również zaaplikowany swego rodzaju system rozwoju postaci, który pozwoli nam stać się potężniejszymi i dostać na niższe poziomy podwodnego świata. Złapcie więc swoją rakietę tenisową i ruszajcie dopaść złego Pete, swobodnego władcy mórz uciskającego słabych i niewinnych.



Drugą propozycją jest znacznie prostsza, ale dająca równie sporo radości gra Prehistoric Worm od ROSS Games na platformę Android. Aplikacja cechuje się prostotą od sterowania opartego na dwóch strzałkach służących do skręcania i przycisku, który pozwala poruszać nam się z prędkością większą niż ślimaka, do celu rozgrywki. Naszym zadaniem jest zdobycie jak największej ilości punktów poprzez spożywanie przechodniów, a później i policji czy wojska oraz niszczenie różnej maści pojazdów. Od farmerskich pick-upów, przez radiowozy i awionetki po satelity, samoloty pasażerskie czy czołgi. Zdobyte punkty przeliczane są na walutę i pozwalają nam zakupić ulepszenia, zmieniając naszego robaczka w prawdziwy postrach ludzkości. Gra jest niewymagająca i pozwala na szybkie kilkunastominutowe partyjki. Warto mieć ją gdzieś w pamięci telefonu i odpalić od czasu do czasu, bo daje sporą porcję radości. Oczywiście musimy patrzeć na nią przez właściwy pryzmat - w końcu to tylko gra, a ci ludzie są przecież fikcyjni.



Obecność

Artur Kawala

ZASTANAWIAŁEŚ SIĘ KIEDYŚ, CZY STWORY SPOD ŁÓŻKA MOGĄ ISTNIEĆ NAPRAWDĘ?

Hollywoodzkie kino grozy raczej nie budzi w nikim dreszczyku emocji czy grymasu strachu na twarzy, jest to prędzej termin wytarty, oczywisty i kojarzy się ze starymi zagrywkami, które na naszych oczach co jakiś czas przechodzą reinkarnację, raz po raz objawiając się ponownie na ekranie. Oczywiście cel jest wyraźny – przestraszyć widza. Wspomniane zagrywki powróciły jeszcze raz kilka miesięcy temu, wkradając się do „Obecności” – nowego utworu Jamesa Wana, twórcy pamiętnej serii „Piła”. Czy reżyser, nastawiając się na zysk, nakręcił kolejny typowy horror, czy świadomie postanowił złożyć hołd kinu grozy? Odpowiedź nie wydaje się być na pierwszy rzut oka tak oczywista.

Zasadniczą i fundamentalną zaletą „Obecności” jest to, że już na poziomie scenariusza twórcy nie silili się na wprowadzanie odmienności gatunkowej, równocześnie jednak nie zrezygnowali z oryginalności, ciągle pozostając na obszarze, który każdy widz dobrze zna od paru ładnych lat. Bo czy pierwszy raz akcja będzie rozgrywać się w starym domku z historią, o której wolelibyśmy nie usłyszeć? Czy wcześniej kamera kątem oka (a raczej obiektywu) nie uchwyciła istoty, której wolelibyśmy nie widzieć? Czy na ekranie nie szalały już kiedyś pozaziemskie moce, których oddechu za sobą wolelibyśmy nie poczuć? Czy nienaoliwione drzwi już wcześniej nie skrzypiały i trzaskały, cienie nie przemykały się na ścianie, a obiekty nie spadały z półek? Odpowiedź na każde pytanie jest przecząca, ale okazuje się, że w „Obecności” wszystkie te elementy zostały mądrze skompletowane w hierarchii właściwej stopniowaniu napięcia. Co może jednak (pozytywnie) zaskoczyć, to fakt, iż kiedy spektakl się już rozpoczyna, twórcy nie wykładają ich przed nami po kolei, działając według ściśle określonego, żelaznego schematu. Wręcz przeciwnie – przed naszymi oczyma rozpoczyna się subtelna żonglerka, która wynika z pozostawionej sobie swobody i spontaniczności. Akcja nie rozwija się jak zwykle, powolnie; od początku bohaterowie czują, że coś jest nie tak, a ich obawy bardzo szybko się sprawdzają. Takie rozwiązanie sprawiło, że wstęp został poddany kompresji, a część właściwa wydłużyła się, co było ryzykownym zabiegiem, bo od tej chwili autorzy musieli poradzić sobie z utrzymaniem napięcia do samego końca.

Fabularna całość została ujęta w ramę autentyczności rozgrywającej się na ekranie opowieści; na początku widzimy informację o tym, iż film jest oparty na faktach, a historia ujrzała światło dzienne po wielu latach, kiedy małżeństwo Warrenów zajmujących się egzorcyzmami zdecydowało się wreszcie ją ujawnić. Ponoć była tak straszna, że wcześniej nie chcieli tego robić. W „Obecności” są oni grani przez Patricka Wilsona i Verę Farmigę, która wypadła absolutnie przekonująco. Widz więc cały czas ma na uwadze to, że wydarzenia w większym lub mniejszym stopniu są prawdziwe i kiedyś miały miejsce. Na końcu zaś pojawia się jeszcze jedna notka o opętaniach i obecności demonów wśród nas, co w jakiś sposób oddziałuje na odbiór całości.

Hollywood nie jest miejscem na eksperymenty filmowe, dlatego autorzy postanowili pójść mocno przetartą ścieżką. Nie stawiano na wielki sukces produkcji, ponieważ projekt filmu miał założenia niskiego budżetu. Mimo wszystko „Obecność” wzięta nas w podróż przez mroczny las, prowadząc ową ścieżką i w końcu doprowadziła tam, gdzie już wcześniej zmierzaliśmy wiele razy, ale często z mizernym skutkiem – do samotnej, starej chatki pośród drzew, w której mieszka zło, którego wolelibyśmy nigdy nie poznać.